

Arnold Gehlen

PRZYCZYNEK DO TEORII FILOGENEZY LUDZKIEJ MOWY¹

1. PROBLEMY POCHODZENIA JĘZYKA

W ostatniej części naszych badań w zakresie filozofii języka jest miejsce na rozważania dotyczące początkowych stadiów mowy, jak i na zarysowanie ogólnej tendencji rozwojowej, którą należy przypisać prawdopodobnie wszystkim językom; samo prawo dostrzeżono już dawno temu począwszy od wystąpienia Humboldta i można je ogólnie określić jako prawo „uabstrakcyjnienia” języka. Jednakże jest ono jedynie wówczas zrozumiałe, gdy wyjdziemy od naszych założeń i będzie wówczas oznaczać porządek, w jakim [dochodzi do] odciążenia od bezpośredniego nacisku aktualnej sytuacji, które leży u podłoża wszystkich języków, lub wyrażając to pozytywnie, w jakim wzrasta ustawicznie za pośrednictwem samego języka wolność człowieka w znaczeniu [możliwości zajmowania] różnorodnych, skróconych i zapośredniczonych postaw. Dzieje się tak na skutek utraty bezpośrednio przedstawiających, wskazujących za pośrednictwem języka wartości, owej naocznej, demonstratywnej treści językowej, zatem w procesie jej blaknięcia (*Abblassens*), dzięki któremu, z drugiej strony, odsłania się możliwość, by słowa nawzajem do siebie odsyłały, wzajemnie się dopełniały i same mogły wyrażać tę funkcję, a myślenie pozostawało w swojej własnej dziedzinie. Ten stan osiągnięty jest właściwie we wszystkich konstrukcjach zdaniowych, ale w najwyższym stopniu na poziomie fleksji. Proces [blaknięcia] podąża stąd dalej i oczyszcza w końcu jeszcze fleksję tak, że ostatecznie osiągnięte zostają późne stadia wysoce zintelektualizowanych, ubogich fleksyjnie języków (angielski, chiński). Prawo to mogę przedstawić tylko w zarysie, ale jest to konieczne, aby nadać naszym, dotychczas przedstawionym poglądom nowe uzasadnienie.

Nie należy naturalnie stawiać pytania o pochodzenie języka w ten sposób, że mielibyśmy się pytać, jak „praludzie” go wynaleźli. Skoro język należy do

¹ Przekładu dokonano na podstawie: Arnold Gehlen, *Der Mensch. Seine Natur und seine Stellung in der Welt*, Berlin 1940, rozdz. 32–34. Tłumaczenie zostało sfinansowane ze środków grantu 11 H 12 030281.

kontekstu autentycznie ludzkich osiągnięć, jest zatem równie stary jak człowiek i problem ten zbiega się z pytaniem o pochodzenie człowieka. Jednakże jak długo będziemy mieli nikłą wiedzę o powstaniu człowieka z jakiegoś gatunku prymatów z okresu trzeciorzędu, nie będziemy mogli naturalnie powiedzieć niczego na temat związku powstałych przy tej okazji zmian funkcjonalnych uniwersalnej istoty [języka] – możemy zatem jedynie włączyć to pytanie w krąg jeszcze większej tajemnicy.

Tutaj sformułowaliśmy jedną pozytywną wypowiedź, że język należy do istotnych cech człowieka. To jest twierdzenie o pierwotności języka, a ujęte w postaci konkretnej mówiłoby ono, że również dzieci wychowywane bez kontaktu z mową, bez tradycyjnego wpajania języka przez dorosłych, same z siebie rozwinęłyby język. Już faraon Psammetych miał przeprowadzić ten eksperyment, a powtórzył go Fryderyk II z dynastii Hohenstaufów.² To samo stanowisko reprezentują współcześni badacze języka, Mc. Dougall, H. Paul, W. Wundt i F. Kainz; ten ostatni na przykład zakłada, że grupa małych dzieci niewystawiona na oddziaływanie językowe ze strony otoczenia dotarłaby do „rudymenarnej pod względem składniowym formy [komunikacji] zbliżonej do pełnego języka.”³ Znakomity duński badacz języka Jespersen dochodzi do tego samego przekonania: „dzieci żyjące w odludnej okolicy, gdzie nie umarłyby natychmiast z powodu głodu lub zamarznięcia, są w stanie rozwinąć język służący wzajemnemu porozumieniu, które może być tak odmienne od sposobu porozumiewania się rodziców, że w rzeczywistości może służyć za punkt wyjścia dla rozwoju nowego języka.”⁴ Jespersen wypowiada tę opinię przy okazji pytania, jak należałoby wyjaśnić zadziwiającą różnorodność amerykańskich języków. W Kalifornii występuje ogromna ilość rozmaitych tubylczych języków, które można by podzielić na nie mniej niż 19 odrębnych pni językowych, podobnie w Oregonie (30 rodzin językowych!) i w Brazylii. W Brazylii często występują języki ograniczone do niewielu użytkowników powiązanych ze sobą więzami pokrewieństwa, prawdziwy instytut rodzinny tak, że w załodze łodzi liczącej 20 głów tylko 3 lub 4 osoby porozumiewają się w swoim języku, podczas gdy pozostałe siedzą obok siebie milcząc bez zaangażowania.⁵ Już w 1886 amerykański badacz Hale reprezentował stanowisko, że łagodny klimat, hojna przyroda we wspomnianych regionach umożliwiły dzieciom, którym los życia łowieckiego odebrał rodziców, przeżycie również bez rodziców, przy czym były one wtedy zmuszone do tego, by wspólnie rozwinąć język. Jespersen dyskutuje bardzo interesujący przypadek z XX wieku, kiedy to bardzo zaniedbani, duńscy bliźniacy wychowywani przez prawie głuchą, starą kobietę rozwinęli niezro-

² F. Kainz, *Psychologie der Sprache*, Band 2: *Vergleichend-genetische Sprachpsychologie*, Stuttgart 1943, s. 77.

³ *Ibidem*, s. 80.

⁴ O. Jespersen, *Die Sprache, ihre Natur, Entwicklung und Entstehung*, Heidelberg 1925, s. 169.

⁵ C. V. Martius, *Beiträge zur Ethnographie und Sprachenkunde Amerikas zumal Brasiliens*, Leipzig 1867.

zumiały dla innych wewnętrzny język – a zatem – naturalny eksperyment Kaspara Hausera. Gdy Jespersen zobaczył ich w wieku 5,5 lat nauczyli się już nieco duńskiego w domu dziecka, ale, pozostawieni sami sobie porozumiewali się swobodnie w bełkotliwym języku. Język ten miał dźwięki, które nie występowały w duńskim, całkiem odmienny szyk wyrazów i liczne negacje w zdaniu, podobnie jak ma to miejsce w językach bantu. Jeśli coś takiego zdarza się w cywilizowanym kraju w XX wieku, to można za Halem przyjąć, że żyjące w odludnym regionie dzieci, którym naprzeciw wychodzi przyroda, rozwinęłyby własny język. Albowiem tym, czego dziecko uczy się od dorosłych, nie są bynajmniej intencje wskazujące za pośrednictwem symboli na rzeczy – tego uczy sama natura, a naukę tej szczególnej intencji skierowanej na rzeczy za pośrednictwem dźwięków przejęłaby zatem pewnie również owa znamienitsza nauczycielka. Ale naturalnie niepomiernie krótsza i prostsza droga nauki polega na tym, że dorosły pokazuje zegar i wypowiada słowo „glock” lub coś podobnego: ponieważ dziecko tak czy owak powtarza to, co usłyszało (życie dźwięku), a przez sytuację wskazywania wymuszona zostaje intencja skierowana na zegar, to bez żadnego dodatkowego pośrednictwa do skutku dochodzi bezpośrednia asocjacja wrażenia wizualnego i akustycznego: powtórzony dźwięk uzyskuje równie łatwo, co automatycznie, ukierunkowanie na rzecz. Dziecko w wieku od jednego do dwóch lat uczy się tego łatwo, ponieważ polega to po prostu na sprzyjającym zespoleniu lub nakładaniu się na siebie procesów, które dziecko na niezliczonych drogach okrężnych, z trudem przezwyciężając własne zakłócenia, wypracowałoby również bez jakiegokolwiek przewodnictwa. Aby dziecko mogło przejąć słowo, które wypowiada dorosły, spełnione muszą być warunki, które są już charakterystyczne dla człowieka i efektywne.

Krótko zestawię te warunki:

1. Istniejąca już, wysoce symboliczna struktura postrzeganego świata, do tego ukształtowana już umiejętność sięgania w minimalnych ruchach po te [percepcyjne] symbole i dokonywania komunikacyjnych aktów.
2. Całościowy przegląd sytuacji, stworzony właśnie przez tę symboliczną percepcję.
3. Intencje, to jest zdolność kierowania się za pośrednictwem symboli ku pewnej całości.
4. Daleko posunięte unieruchomienie całego organizmu, uwarunkowane dużym spowolnieniem rozwoju popędów i wspierane przez indywidualne opanowywanie zalewu bodźców, a zatem:
5. Charakter „intymności” świata, jego znajomości i „przesunięcia w stan utajenia” (*Dahingestelltheit*) w szczegółach.
6. Otwartość, to znaczy niestabilne i otwarte na świat, wybudujące popędy i ruchy, które się rozładowują w komunikacyjnych „okrężnych ruchach”: „ekspresja”.

7. Zdolność do przejmowania i wykorzystywania zakończonych sukcesem komunikacyjnych ruchów wszelkiego rodzaju, do tego antycypacja tych sukcesów jako „motywów” i inicjowanie ruchów z uwagi na motywy.
8. Życie dźwięku. Bogactwo artykulacyjne i akustyczna zdolność rejestrowania postaci na poziomie dźwięku.
9. Rozpoznawanie za pośrednictwem „minimalnych ruchów” zachodzące na dźwiękowo-motorycznym torze.
10. Gesty dźwiękowe, doprecyzowanie dźwięków towarzyszących działaniom, względnie intencja ukierunkowana z bazy dźwiękowej na rezultaty działań.
11. Dźwięk jako zawołanie i przełomowe działanie.

W skrócie byłby to zatem ogół osiągnięć, które muszą zaistnieć, aby dorośli mógł przejąć kierownictwo nad rozwojem języka. Jeśli je przejrzymy i przemyślimy, to zyskamy potwierdzenie i tak pewnego przypuszczenia, że dzieci rozwinęłyby język również bez kierownictwa, choć jedynie za pośrednictwem wzajemnej komunikacji, a zatem przypuszczenia o pierwotności języka, który dany jest wraz z istotą człowieka.

Jednakże istnieje jeszcze inna strona problemu genezy [języka]. Przekazane nam w formie pisanej stare języki wykazują mianowicie ogromne bogactwo słownictwa i form, które dalece przewyższa zasoby współczesnych, żywych języków, jednak bogactwo to bez wątpienia powstawało w długich okresach począwszy od prymitywnych początków – w okresach, których długość możemy swobodnie wyznaczać, skoro wiek *Sinanthropusa* szacuje się na co najmniej 400 000 lat. „Rozwój” języka i ducha musiał zatem przebiegać równoległe z hominizacją, przy czym, jak już pokazaliśmy we wprowadzeniu, nie możemy sobie jednak nawet wyobrazić biologicznego mechanizmu, który spowodował zmiany budowy [organizmu], nie mówiąc o powstaniu kategorialnego „novum”, które stanowi język i myślenie. Ale w obrębie tego zagadkowego procesu nasze korzenie językowe odegrały prawdopodobnie ważną rolę i nasuwa się pytanie, czy nie istnieją antropologiczne „sytuacje kluczowe”, w których musiały współdziałać niektóre z nich albo nawet wszystkie łącznie. Taka sytuacja musiałaby poza tym być sytuacją autentycznie ludzką, to znaczy taką, w której [pojawia się] kolektywne działanie. W istocie u czterech wybitnych, niezależnie pracujących badaczy języka jak Noiré, Amman, Jespersen i Karl Voßler można znaleźć zgodny pogląd, który dokładnie odpowiada warunkom, jakie sami musielibyśmy wskazać. Hipoteza Noiré została już przedstawiona: „Dźwięk mowy – stwierdza on – jest zatem co do swej genezy towarzyszącym wspólnej aktywności wyrazem podwyższonego zbiorowego odczucia”.⁶ Wszelkiej wspólnej aktywności

⁶ L. Noirés, *Der Ursprung der Sprache*, Mainz 1877.

towarzyszy pierwotnie śpiew lub nawoływania, a ze wspólnie wybrzmiewającego, wspólnie wydawanego i wspólnie rozumianego dźwięku rozwinęło się słowo: „Istotną osobliwością tego dźwięku było to, że przypominał on określoną czynność i tak też był rozumiany”. A zatem dźwięki towarzyszące działaniom uzyskiwały na podstawie udziału w tych działaniach określony pragmatyczny sens (*Aktionssinn*), „przypominały” te działania albo też: za pośrednictwem wspólnego dźwięku można było skierować się na określone następstwo działań. Całkiem podobnie wypowiada się Voßler: „Załóżmy, że jakiś dźwięk, na przykład *mar*, towarzyszył (!) w pradawnych czasach czynności tarcia lub szlifowania kamienia bez żadnego szczególnego sensu, a tylko jako naturalny odruchowy i nawykowy dźwięk. To nie był jeszcze język. Jeśli teraz jednak jeden z wykrzykujących owo *mar*, który chciał zabrać się za szlifowanie kamienia, jeszcze przed podjęciem tej czynności, zawołał *mar*, aby w ten sposób zasygnalizować, że chce to robić lub że inni powinni się tym zająć, był to już język: ponieważ teraz przedstawił on chęć lub powinność szlifowania, która nie była jeszcze tą czynnością, za pośrednictwem naturalnego i nawykowego dźwięku wskazującego na szlifowanie. Osoba ta przeniosła i zastosowała to, co nazywamy metaforą, permutacją lub symbolem, a co stanowi istotę wszelkiego ujęzyczonego myślenia. Jednocześnie ów pierwszy mówca mógł za pomocą gestu lub akcentu, które wyrażały jakiś nakaz, zaproszenie lub rozkaz, wzmocnić swoje „*mar*”, które wskazywało naocznie i akustycznie, że posiada on świadomość, logiczną świadomość, że powiedzenie *mar* jest czymś innym niż robienie *mar*”.⁷

Ammann posługuje się Voßlerowskim przykładem, łącząc z nim daleko idące rozważania, które pominię, ponieważ należą one już do teorii języka. Wydobywa on przy tym klarownie główny problem: „Pierwotnie, naturalnie powiązane z działaniem gesty dźwiękowe (!) służyły, z jednej strony, do tego, by powołać do życia samo działanie, a z drugiej strony, by uobecnić w przedstawieniu działanie minione.”⁸ Dźwięk miałby zatem, z jednej strony, znaczenie imperatywne (nawoływanie!), a z drugiej strony, znaczenie pierwszej osoby trybu oznajmującego czasu przeszłego. Można sobie również, kontuuje Ammann, wyobrazić jeszcze, że inni obwieszczali swój udział, dopinając przez „przyłączenie się do nawoływania”. Wreszcie Jespersen: „Jeśli określona liczba ludzi stałaby się grupą świadków zdarzenia i towarzyszyłyby mu z jej strony jakiś rodzaj improwizowanej pieśni lub refrenu, to obydwa wyobrażenia połączyłyby się, a później wspomniana pieśń służyłaby do tego, by przywołać w pamięci podówczas obecnych wyobrażenie całego zdarzenia.” „Jeśli jeden z naszych przodków przy określonej okazji przypadkowo wypowiedział sekwencję dźwięków i zobaczył (lub usłyszał), jak jego otoczenie reaguje na to ze zrozumieniem, to potem dążyłby do tego, by pozostać

⁷ K. Voßler, *Gesammelte Aufsätze zur Sprachphilosophie*, München 1923.

⁸ H. Ammann, *Sprache und Wirklichkeit*, „Blätter für Deutsche Philosophie”, XII, s. 239.

przy tej samej kolejności dźwięków i powtarzać je w podobnych sytuacjach; w ten sposób byłyby one stopniowo przekazywane na mocy tradycji jako symbol tego, co wówczas w pierwszym rzędzie zajmowało jego oraz ich ducha”.

Bez trudu można dostrzec, jak tych czterech autorów zgadza się ze sobą, konstruując podobny „elementarny przypadek”. Jednakże nie sędzę, żeby w ten sposób można było rzeczywiście powiedzieć coś o historycznie pierwszym użyciu języka, jak mieli to na myśli autorzy, argumentując za pomocą figury „pierwotnego człowieka”. Mimo to przykład ten porusza coś istotnego, ponieważ nakreśla być może nie tyle jedyny, ale z pewnością bardzo ważny punkt: dotyczy on bardzo ludzkiej i elementarnej, wciąż powtarzającej się sytuacji, w której wiele korzeni językowych współdziała nader skutecznie ze sobą tak, iż dzięki temu może zostać zainicjowana jedna z elementarnych linii rozwoju języka, w istocie najistotniejsza. Albowiem konstruujemy teraz z czterech podobnych przykładów, jeden jedyny i widzimy, co w tym wszystkim zbiega się [w jedność].

Mamy tu do czynienia zatem z grupą lub wspólnotą ludzi zajęta jakimiś działaniami. Te mogą być wykonywane w całości jeszcze z wielkim trudem, ale „towarzyszą” im afektywne dźwięki, które doprecyzowują się wraz z postacią działania i uzyskują wartość sytuacyjną. A zatem „gesty dźwiękowe”, w których teraz, jak powiedziano powyżej, mocą zdolności do zmiany wykorzystywanych ruchów intencja może odnieść się do całości działania. Trzeba również już z góry założyć komunikację na płaszczyźnie dźwiękowej, a zatem życie dźwięku. Można wtedy wprawdzie za pośrednictwem tego wspólnego dźwięku zainicjować działania, początkowo tylko na płaszczyźnie sensomotorycznej, ale równocześnie należy, co bardzo dobrze dostrzega Voßler, ową fazę dźwiękową postrzegać jako odróżnialną od samego działania, a zatem [jako] czysto myślową intencję [niesioną] przez dźwięk w kierunku rzeczy, którą realizuje samo działanie: dźwięk nakierowany jest dzięki temu na to działanie i to tym bardziej, że częste powtarzanie dostarcza akustycznych i widzialnych środków, które [ułatwiają] rozpoznanie. Tym samym nie brakuje również drugiego aspektu [polegającego na tym], że rozbrzmiewający przy podobnej okazji dźwięk pociąga za sobą wspomnienie całości przebiegu zdarzeń; wreszcie wystarczy, że faza dźwiękowa zostanie tylko „zaakcentowana” i [nasycona] emocjonalnie, aby dzięki okrzykowi wzbudzić u wszystkich uczestników oczekiwanie sukcesu oraz nadchodzących faz całości: dostrzegamy tutaj zatem duże zagęszczenie wszystkich korzeni językowych, a z całą pewnością znaczące miejsce ich współwzrastania w ramach *jednego* osiągnięcia: porozumienia dotyczącego wspólnie wykonywanej czynności. Akurat tego rodzaju gesty dźwiękowe czy też słowa sytuacyjne musiały być względnie neutralne wobec różnicy między działaniem a przedmiotem, lub lepiej, musiały zrealizować obydwa aspekty: kierowanie się na dany przebieg zdarzeń oraz impuls do uczestnictwa w nim, a zatem, że tak powiem, reali-

zowały je jeszcze przed zróżnicowaniem na rzeczowniki i czasowniki, a poza tym [posiadały] znikomą samodzielność, to znaczy były określone dopiero przez całość sytuacji i zależne od znaczenia naocznych kontekstów: wszystko to wymaga ze swej strony [badań] językoznawczych.

A poza tym oprócz bardzo wąsko ujętego przykładu autorów należy uwzględnić całkiem otwarty, ludzki świat, który jest opanowywany komunikacyjnie oraz za pośrednictwem towarzyszących ludzkim kontaktom przeżyć (*Umgangserlebnisse*). Muszą tu wszędzie wykształcić się także inne przeżycia językowe, i tak odkryto przede wszystkim, że przedmioty rozpoznawane w medium dźwięku mogą zostać „przesunięte na drugi plan”, opanowane za pomocą minimalnego działania, a tym samym równocześnie wplecione w żywotność przeżycia towarzyszącego międzyludzkiemu obcowaniu – tak że owa skupiająca się w słowie intencja może się teraz rozprzestrzeniać i wszędzie rozpoznawać „to samo” – w ramach wciąż na nowo ożywianego przez komunikację przybliżenia dostępu do [wydarzeń i przedmiotów]. Na tle owego całościowego pola ludzkich odciażonych przeżyć tworzą się pojedyncze centra niejako zagęszczonego życia językowego i praktycznego, z których w pierwszej linii rozwija się język, a których jeden szczególnie znaczący i przemysłany przykład został przedstawiony.

2. WYŻSZY ROZWÓJ JEZYKA

Jeśli nie możemy mieć wątpliwości co do tego, że przez bardzo długi czas użycie języka nie wykraczało poza bezpośrednie porozumienie w obrębie konkretnych sytuacji, to jednak [musimy przyjąć, że] słowo i zdanie równie pierwotnie zawierają się w języku. Tymczasem w zdaniu najpierw przedstawiony jest pewien przebieg zdarzeń względnie pewien stan rzeczy, co umożliwia każdy język. U dzieci obserwuje się stadium bezrefleksyjnego, wielosłownego zdania. Przytoczmy jeden z licznych przykładów, kiedy to dziecko Lindnera powiedziało „fallen tul bein anna ans” – co miało oddać zdarzenie, w którym Hans potknął się o nogę krzesła, na którym siedziała Anna. Również tutaj język pozostaje jeszcze w kręgu przedstawienia przeżytych sytuacji, co odpowiada naiwnej relacji, i z dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że nigdy nie przekazane nam, rzeczywiście prymitywne początki języka miały taką właśnie strukturę.

Już tutaj pojawiające się duchowe osiągnięcie nie polega tylko na tym, że można oszacować całą sytuację i wydobyć z niej kilka istotnych momentów, lecz poza tym polega ono jeszcze na zdolności, którą Humboldt określił syntetycznie jako następstwo słów, w którym każde z nich odnosi się do takiej części składowej (*Bestandstück*) całego zdarzenia, że na swojej własnej płaszczyźnie zespala w całość ogólny sens, który odpowiada całości sytuacji: jedna intencja przebiega przez słowa w kierunku rzeczy, druga przez słowa

w kierunku innych słów, byłoby to niemożliwe, gdyby refleksja nie odnosiła słów i rzeczy nawzajem do siebie, ani ich jednocześnie nie rozróżniała. Dziecko w wieku 1,3 roku, które widziało grających żołnierzy, mogło już w ten sposób przedstawić to zdarzenie za pomocą „dwusłownego zdania”: „Daten lalala”. Zatem podobnie jak ogarnięcie wzrokiem i skupiające spojrzenie, czyli synteza percepcji, [odzwierciedlają] zdarzenia i sytuacje, również synteza słów oznacza takie zdarzenia, przedstawia je na swojej płaszczyźnie i komunikuje. Wraz z pojawieniem się zdania dokonuje się zatem decydujący, konieczny wynikający z istoty języka postęp, który polega na tym, że język uzyskuje teraz możliwość spoczywania w sobie samym.

Prawdopodobnie powszechnie przyjmowana teraz przez językoznawstwo prawda, że słowo i zdanie mają wspólne źródła, nie powinno jednak prowadzić do zapoznania różnicy między nimi. Dziecięcy rozwój języka ukazuje słowa będące słowami-życzeniami i słowami-afektami (*Affektworte*), które występują w zawołaniu oraz inne, jak te w podanym wyżej przykładzie „öf”, które mają liczne i jeszcze płynne znaczenia. Takie słowa mogą zatem być określone, dokładnie tak jak dźwiękowe gesty, jako słowa posiadające wartość sytuacyjną, jako „zdania załączkowe”. To w niczym nie przeszkadza temu, żeby zwłaszcza w kontekście rozpoznawania pojawiały się przypadkowo i peryferyjnie w tym samym czasie specyficzne jednostkowe nazwy, przy [użyciu] których rozpoznanie to w pewnych okolicznościach pozostaje niezmienione. Wszędzie tam zaś, gdzie chodzi o komunikat, o prostą narrację, dziecko musi przejść do wielosłownego zdania, a zatem wszędzie tam, gdzie wkracza odciążenie od afektów i pragnień lub gdzie aktualna sytuacja sama nie przejmuje [funkcji] komunikatu. W ostatnich przypadkach można jeszcze długo pozostać przy prostych „sygnałach”. Narracja potrzebuje jednak dla [wyrażenia] istotnych momentów sytuacji przynajmniej kilku danych z góry pojedynczych merytorycznych słów (*Sachworte*). Deskryptywne zdanie „błyskawica rozbłyska” tworzy jakościowo nowy stopień ponad afektywną lub po prostu wskazującą za pośrednictwem sytuacji wymianą językową. W [zdaniu tym] „myślenie spoczywa samo w sobie.”

Znaczenie tej tezy jest ogromne. W mówieniu z konieczności dokonuje się pewne odciążenie słów od ich „zawartości obrazowej”: gdyby pojedyncze słowa kierowały nas, co odpowiadałoby ich [roli] pod innym względem, bezpośrednio ku rzeczom, do których się odnoszą; jeśliby zatem każde pojedyncze słowo spełniało się i uobecniało w przedstawieniu, to utracona zostałaby zdolność słów do wzajemnego odsyłania i wskazywania na siebie. Dopiero to ostatnie osiągnięcie uwalnia myślenie i pozwala mu spoczywać w samym sobie. H. von Kleist dostrzegł to samo, kiedy porównał słowo do „koła zamachowego na osi myślenia”. Jeśli język pozwala obywać się swym znakiem bez pełnego naocznego wypełnienia, pozwalając im nawzajem do siebie odsyłać [pod postacią] znaków dźwiękowych, to nie rzeczy, lecz dźwięki, które je

reprezentują, utrzymują w ruchu językowy proces. Inaczej mówiąc, słowo ma tylko tymczasowe znaczenie i właśnie z tego powodu jest w stanie dopełniać się w innych słowach i kierować na nie intencję. Tylko w ten sposób możliwe jest kierowanie przepływem amorficznej masy myślowej, która wywiera na nas semantyczny nacisk – dzięki następstwu zredukowanych symboli, tak iż każda artykulacja rozdziela masy myślowe i pozwala im płynąć zgodnie z tymi artykulacjami.

Przemyślmy ten stan rzeczy jeszcze w innym kierunku. Do najwcześniejszych warstw języka należy bez wątpienia czysto wskazująca komunikacja. Jeszcze dzisiaj może okazać się niezbędne dla przeżycia to, że za pośrednictwem odpowiednich znaków ktoś udostępni komuś innemu pewną nadwyżkę percepcji. Niektóre kategorie słów, przede wszystkim zaimki wskazujące umożliwiają nadal to zmierzające bezpośrednio ku rzeczom dokonanie wskazywania. Tutaj myślenie zostaje odesłane bezpośrednio od samego słowa do rzeczy, a zatem przeniesione z języka do percepcji.

To samo odnosi się do prostego opowiadania, które w istocie jest uobecnieniem i stanowi przeważającą część codziennej, międzyludzkiej komunikacji. Tak oto przedstawia się wprawdzie nie aktualną sytuację, lecz sytuację, która była kiedyś aktualna i została na nowo uobecniona. Narrację należy stale wypełniać przedstawieniami w ten sposób, że słuchacz przenosi się z realnej terażniejszości do terażniejszości przedstawionej: powiązanie języka z bezpośrednią sytuacją również tutaj pozostaje zachowane, tylko że wchodzące tu w rachubę przedstawienie za pośrednictwem *z d a n i a* nie mogłoby się jednak obyć również bez owego innego ukierunkowania myślenia na płaszczyźnie słów.

Przyjrzyjmy się natomiast stwierdzeniu lub autentycznemu poznaniu w ogólności, również w przednaukowym znaczeniu, a zatem, na przykład, zdaniu „deszcz ochładza”. Zdanie to nie mówi, że ja lub my zauważyliśmy raz bądź więcej razy, że po deszczu przychodzi ochłodzenie, nie mówi również tego: że jak często dotychczas padało, robiło się chłodno; to byłoby [już] opowiadanie, narracja. Zdanie to, chociaż wywodzi się z doświadczenia, przerwało związek z percepcją. Jest ono „syntezą pojęć”, stwierdza wprawdzie pewien stan rzeczy, ale dla *m y ś l e n i a*, nie ma zatem znaczenia, które wskazywałoby na sytuację, ani znaczenia, które byłoby wypełnione wyobrażeniami i zasadniczo nie jest komunikatem – chociaż to wszystko może się w nim również zawierać. W środkach językowych tkwi możliwość opowiedzenia, przedstawienia oraz wskazania na dający się postrzec stan rzeczy – a zatem możliwość odesłania do niego w naoczny lub uobecniający sposób, ale tkwi w nich również inna możliwość *pominięcia* tego bezpośredniego ukierunkowania na rzeczy i pozostawiania na płaszczyźnie myślenia, [zatem możliwość] pozostawiania w zawieszeniu innych dających się rozwinąć intencji skierowanych ku rzeczom. Takie określone spoczywanie w sobie myślenia utrzymuje się w poznaniu, ono zaś jest określeniem

za każdym razem bardzo szczególnego spoczywania w sobie. Poznanie jest z istoty pomyślane, niezależnie od tego, w jakim stopniu mogłoby wywodzić się z percepcji. Ponieważ w języku pojawia się nie tylko bezpośrednie ukierunkowanie na rzeczy za pośrednictwem symbolu, lecz jest on również zdolny do tego, by pozostawić w zawieszeniu to ukierunkowanie i utrzymać ponadto zawarte w nim inne [ukierunkowania], a mianowicie odciążyć bezpośredniość znaczenia słów i pozwolić im wzajemnie się wypełniać, a zatem „pomóc samym naszym myślom” (Leibniz) – dlatego język może obrać ten kierunek w zgodzie ze swoimi preferencjami i doprowadzić myślenie do stanu, w którym spoczywa ono samo w sobie. To właśnie jest poznanie: ustalić za każdym razem bardzo określone spoczywanie w samym sobie. Odbywa się to zawsze niejako w „spojrzeniu” na stan rzeczy, ale w sobie jest czynnością myślenia, która nie kieruje już intencji na stan rzeczy, lecz utrzymuje się w sobie samej.

Już wspomniałem przykład Fichtego, który powiada: „Potrzeba, by rozmaite słowa zajęły pozycję podmiotu i predykatu pojawia się wówczas, gdy przedmioty wchodzą w tak różnorodne relacje, że po nazwaniu podmiotu nie od razu wiemy, jaki predykat mu odpowiada.”⁹ To może tylko oznaczać: w intuitywnym, sytuacyjnym i „wskazującym” użyciu języka wystarczyło nazwanie, oznaczenie jednego szczegółu, aby wydobyć z naocznego kontekstu embrionalny sens zdania. W przypadku zmieniających się i wieloznacznych sytuacji owo czyste wskazywanie jest zatem niewystarczające jako dokonanie [językowe]: „Środek służący do rozróżnienia został wkrótce odnaleziony, znajdował się w samej naturze. Połączono dwa tony, jeden oznaczał podmiot, a pojęcie właściwego odniesienia podmiotu do człowieka (powiedziałbym: każdorazowe odniesienie do danych okoliczności i potrzeb) stało się zbędne, gdyż zostało ustanowione specyficzne odniesienie do niego.”

W ten sposób ciąg zdarzeń zostaje w pełni poznany. Gdy myśli łączą się nawzajem, muszą przesunąć na dalszy plan wzgląd na bezpośrednio zewnętrzne otoczenie, jak i na obecność chwilowych afektów oraz skierowane na zewnątrz interesy: muszą je „znieść”, jak powiedziałby Hegel. W obrębie myślenia dokonuje się zatem rozstrzygający krok ku odciążeniu od bezpośredniości. Jeśli pewien stan rzeczy – deszcz przynosi ochłodzenie – uzyskuje w zdaniu pozornie „bezczasową” ważność, to wynika to stąd, że spoczywające w sobie myślenie utrzymuje w zawieszeniu wskazującą funkcję, od której abstrahuje, chociaż zawsze pozostaje ona pewną możliwością, a przez to zawiesza również odniesienie do aktualnych potrzeb.

Dlatego, jeśli pójdziemy krok dalej, stanie się zrozumiałe, że język tworząc relacje między słownymi pojęciami, wyraża je i formułuje na własnej płaszczyźnie, z upodobaniem przekształcając „wyblakłe” słowa, które tracą konkretną, naoczną lub wskazującą treść. Metoda fleksyjna ujmuje za

⁹ J. G. Fichte, *Vorlesungen über Logik und Metaphysik*, Jena 1797.

Humboldtem¹⁰ każdy element mowy w dwojakim aspekcie, jego obiektywnego znaczenia i subiektywnego odniesienia do myśli i języka. To oznacza, że we fleksji zdania współformułowane są wzajemne relacje między słowami na ich własnej płaszczyźnie, obok utrwalonego, rzeczowego znaczenia słów. Zdanie: *Caesar urbem expugnatam destruxit* spoczywa w sobie, ponieważ zawarte w nim samoodniesienie myślenia przedstawione i wyrażone jest także w relacjach między słowami, w przeciwieństwie do dziecinnego niefleksyjnego zdania wielosłownego, które natychmiast odsyła do sytuacji.

Odciążenie, którego doznaje świadomość, gdy abstrahując od naocznego i emocjonalnego obciążenia słów, uczy się przechodzić [niejako] w stan spoczynku (*verweilen*) na płaszczyźnie przemijających znaków języka, umożliwia jej dopiero jej własne dokonanie polegające na tym, że w strumieniu czasu rozwija momenty rozczłonowanego tematu i formułuje go we wzajemnych odesłaniach między słowami. Wielokrotnie mieliśmy już okazję zapoznać się z tym aspektem całościowej orientacji w pomijaniu: tak jak symboliczne pola percepcji mogą być ogarniane tylko dlatego, że symbole są sugestiami możliwej obfitości, od której można abstrahować: tak poruszający się sam w sobie język jest polem symbolicznym, który daje się ogarnąć dopiero w rezultacie „wyblaknięcia” wartości sytuacyjnej i bezpośredniej interesowności słów. Abstrahując od sytuacji słowo jest niewypełnione, intencja zmierza do przekroczenia słowa i ten ruch może zastąpić tylko utworzenie syntaktycznej całości.

Syntaktyczne i fleksyjne dojrzewanie języka jest niezbitym dowodem na to, że myślenie pierwotnie operuje bezpośrednio w języku: sformułowany w bogatych językach aspekt myśli jest samym tym aspektem. Każdy zwrot myśli dokonuje się w materii słowa, relacje słowne są artykułowane w nich samych tak, że każde słowo otrzymuje wyartykułowane odniesienie do innych słów w znaczeniu całości. Naturalnie język ponownie zyskuje w trybie wstecznym podwyższoną zdolność do włączania w swój zakres aspektów faktycznego stanu rzeczy: im bardziej rzeczywiste myślenie, tym bardziej rzeczywista bliskość wobec rzeczy i adekwatność. W bogatym języku o rozwiniętej składni i fleksji myśl urzeczywistnia się sama w sobie właśnie poprzez to, że nie pomija artykulacji żadnego aspektu, a język może temu podołać rzecz jasna tylko dlatego, że myślenie nie biegnie od słowa bezpośrednio ku rzeczy, lecz „spoczywa w sobie samym”. Warunkiem tego „teoretycznego” osiągnięcia jest zatem zarówno pewne wygaszenie afektu (dane już wraz z nieograniczoną możliwością powtarzania każdego słowa w wyobraźni akustycznej), jak i bezpośrednich osiągnięć wskazywania, pokazywania i utrwalania: osiągnięty musi już być wysoki stopień odciążenia od nacisku

¹⁰ W. Humboldt, *Einleitung zum Kawi Werk. Über die Verschiedenheit des menschlichen Sprachbaues und des Menschengeschlechts*, 1836, s. 188.

sytuacji, który zachodzi w całym sensomotorycznym życiu człowieka i w pełni dokonuje się w języku.

Należy zatem oczekiwać, że utrata bezpośredniego rzeczowego ciężaru słów czyni je użytecznymi do tego, by przejęły niejako w „wyblakłej” formie odesłania wewnątrz-językowe: materialne elementy języka w znacznej mierze stają się na skutek utraty swojego naocznego i wskazującego znaczenia niesamodzielnymi, „formalnymi” elementami słownymi a przez to nośnikami czysto językowych, „abstrahujących” (abstrakcyjnych) odesłań znaczeniowych, które jednak mogą jeszcze formułować.

Nadzwyczajne znaczenie dla rozwoju akontekstualnego myślenia ma wreszcie dojrzała, tworząca okresy i ustanawiająca zależności między częściami zdania konstrukcja myślowa stanowiąca przeciwieństwo wobec wyłącznie szeregowego ustawiania zdań obok siebie. Główną rolę, co zauważył już Humboldt, odgrywa tu przy tym zaimek względny. Malezyjskie i uralsko-ałtajskie języki nie dopuszczają pierwotnie żadnych zdań podrzędnych i zależnych struktur zdaniowych, natomiast ugrofińskie podobnie jak niektóre indogermańskie języki rozwijają zaimek względny z zaimka pytającego, a zatem silnie związany z sytuacją zaimek pytający ulega wyjąłowieniu do postaci elementu wyrażającego relacje między jednostkami zdania (*qui* z *quis?*). Prawdziwe syntaktyczne spójniki jak, ponieważ, gdy, chociaż są późnymi nabytkami również w językach indogermańskich. Rezultat „zblaknięcia” aspektu emocjonalnego bardzo wyraźnie uwidacznia się w przypadkach, w których mieszaniny afektu i wypowiedzi stają się nowymi, teraz syntaktycznymi konstrukcjami.

Utrata bogactwa fleksyjnego powoduje, że języki stają się „abstrakcyjne”. Te znaczenia, które opierają się na wzajemnych odniesieniach słów i zostały wcześniej sformułowane, teraz stają się niejęzykowymi relacjami myślenia! W zdaniu *puer amat puellam* końcówka biernika jest nośnikiem znaczenia dopełnienia wypowiedzianej relacji. Zdanie *boy loves the girl* nie dopuszcza możliwości błędnego rozumienia dzięki trwałości szyku wyrazów, a zatem znaczenie dopełnienia pozostaje niesformułowane jedynie [w relacji do] kierunku pomyślanego odniesienia, który jest jednoznacznie narzucony. Ten mały przykład wystarczy, aby natychmiast uzyskać wysoce interesujące zrozumienie tego, że w rezultacie redukcji bogactwa fleksyjnego język niejako sam z siebie poddaje się matematyzacji. Zdania ubogich fleksyjnie języków stają się topograficznymi, znaczącym ze względu na lokalizację schematami, można nie bez racji powiedzieć, że słowo uzyskuje swoje pełne znaczenie dopiero dzięki pozycji, jaką zajmuje w zdaniu i że wszystkie niematerialne znaczenia ufundowane są w regularnie rozwijających się odniesieniach (*Beziehungsbewegungen*) samego myślenia.

Krok ku matematyce stawia myślenie wówczas, gdy ujmuje czysto myślowy akt bez jakiegokolwiek treści i utrwała go za pośrednictwem jakiegoś już tylko szcątkowo językowego znaku. Jest to jedność ustanowiona przez akt

myślowy jako taki, a matematyczna operacja (*Bewegung*) opiera się na arbitralnych, quasi-wolicjonalnych, ale regularnych i podtrzymywanych relacjach między tego rodzaju aktami myślowymi. Operacji matematycznej towarzyszy wybór znaku dla symbolicznego oznaczenia takich relacji. Każdy symbol jest poniekąd instrukcją dotyczącą każdorazowo ustanawianych relacji pomiędzy czystymi aktami myślowymi, ewentualnie dotyczącą innych również czysto symbolicznych relacji; operacje symboliczne dokonywane są wyłącznie [w tym celu], aby zgodnie z prawdami myślenia ustalić inne, podobnie czysto symboliczne relacje.

„Znaczenie” matematycznego symbolu, na przykład liczby 3 jest zatem tylko samą narzuconą jej, beztreściową operacją myślową: akt pierwszy, drugi, trzeci, zsumowane. To jest ta sama uwalniająca się już od języka operacja myślowa, która staje się konieczna w pozbawionych fleksji, wysoce abstrakcyjnych językach, gdy położenie słowa określa niematerialną część jego znaczenia, powiedzmy rolę dopełnienia tak, że znaczenia tego nie można już inaczej uzyskać, jak za pośrednictwem określonego, zgodnego z prawdami ukierunkowania relacji bez ekspresji językowej. Stąd [wywodzi się], dokładnie jak w matematyce, mechanizacja tych języków, ich łatwość i zrozumiałość. W języku angielskim istnieją zjawiska, które wyraźnie przypominają zmechanizowaną matematykę, na przykład grupowy dopełniacz: *all good old men's works's = (all good men) works*.

Do zjawiska „odciążenia” od bezpośredniego zachowania, które stanowi ludzki prafenomen, należy zawsze owo wycofywanie się przed owymi bezpośrednimi miejscami kontaktu, a zatem „samorozbudowa” funkcji: począwszy od najprostszych funkcji motorycznych po język, myślenie, a przede wszystkim po życie popędowe, ludzkie funkcje muszą się wzajemnie rozbudowywać i niezbędnym środkiem do tego jest zawsze mechanizacja, kształtowanie nawyków, to znaczy tworzenie odciążonej od nakładów energii bazy dla dalszego udoskonalania osiągnięć. Wystarczy tylko pomyśleć o rzemieślniku, który ćwicząc tysiące godzin, wypracowuje nieświadomą pewność ruchu nawet najbardziej subtelnych czynności tak, że to, co ponadto wymaga od niego wysiłku, nie byłoby osiągalne dla kogokolwiek innego. Chciałem pokazać w tym rozdziale poświęconym językowi, że właśnie tutaj w centrum ludzkiej istoty owa prawidłowość jest zadziwiająca. Pole sił języka stanowi pierwotnie bez wątpienia terażniejszość istniejącej sytuacji. Ale dopiero dzięki odciążeniu od niej język uczy się poruszać w sobie samym, a przez to mechanizm skojarzeń, zewnętrznych adaptacji, analogii, czystego rozumienia formuł wnika weń w takim stopniu, w jakim traci on wskazującą sugestię, ładunek emocjonalny i zawartość obrazową. Ale właśnie to stanowi podłoże rozwoju bogatszego, odsyłającego, doskonalącego się w sobie myślenia, stanowi warunek możliwości myślenia o zniuansowanych podporządkowaniach i całego myślowego bogactwa, które wyraża fleksja i składnia. Aż dotąd droga doskonalenia jest drogą w dół, rozrasta się stereotypo-

wość, skutecznie się zubożały schematyzm, następuje powszechny zanik problemów w „straszliwym upraszczaniu”.

3. SPECYFICZNE DLA JĘZYKA FANTAZMATY

Studiowanie etymologii jest dlatego dzisiaj tak fascynujące. Niegdyś żywe w języku elementy obrazowe i oryginalne myśli można ponownie obudzić z dawno sfunkcjonalizowanych formuł i przenieść się w czasy, gdy naoczna fantazja wytwarzała myśli w słownych obrazach.

W *Filebie* Platona powiada się, że gdy poznamy to, co rzeczywiste, działa w nas wytwórca obrazów i twórca logosu, a Arystoteles stwierdza w traktacie *O duszy*: „Co się odnosi do pojęć, to tworzy je władza myślenia na podstawie wewnętrznych obrazów zmysłowych.” Należy się z tym koniecznie zgodzić: tym, co odczuwamy i ponownie ożywiamy w języku, który studiujemy, jest pierwotne, działające w nim ukierunkowanie wyobraźni narodu, językowej wyobraźni.

Akustyczny ruch myśli jest rodzajem aktywnej, twórczej i otwierającej świat komunikacji, która w równej mierze pomnaża, co „skupia” jego bogactwo: w ten sposób w fantazmatach języka świat naocznych i zagęszczonych symboli staje się jeszcze raz symbolicznie dyspozycyjny. Naturalnie język musi wówczas angażować większą część wyobrazeniowego życia człowieka, ponieważ i tak jest przecież ostatecznie wiodącym i integrującym systemem, który w znacznej mierze „monopolizuje” również ekspresję i komunikację. Wyobrazeniowe transpozycje wnikają w odciążoną aktywność dalekiego zasięgu i stają się, ponieważ intencje języka wypełniają się nawzajem, zdolnością do wzajemnego transponowania intendowanych treści w obrębie fantazji. Mówimy tutaj o tym osiągnięciu, a nie o zaktywizowanej również przez język zdolności do czysto „wyobrazeniowego” przeniesienia się w inne sytuacje.

Jeśli pominiemy tę zdolność, będziemy mogli rozróżnić dwa kierunki pracy wyobraźni w języku: jedną na płaszczyźnie obrazowej samego słowa, drugą w „wewnętrznej formie” języka, to znaczy w wyobrazeniowym wyborze aspektów, pod kątem których wyobraźnia dokonuje interpretacji i których się trzyma. Omówię krótko obydwa aspekty.

Już w każdym słowie jako takim przejawia się elementarne osiągnięcie wyobraźni w postaci prostej symboliki, a zatem w tym, że język ujmuje przedmioty „obrazowo” w słowach. O tyle czyste przyporządkowanie dźwięku do rzeczy, w którym jedno ujęte jest w zastępstwie drugiego, jest czynnością wyobraźni i można odróżnić od niego stronę autentycznie intelektualną, która przejawia się w intencji, w kierowaniu się za pośrednictwem słowa ku przedmiotowi: ten akt pozostaje identyczny również w licznych językach. Jeśli natomiast przyporządkowanie wyobrazeniowe, owo dokonanie tak

głęboko witalne, jak ujmowanie A w zastępstwie B, ujmuje samo siebie i odtąd, jak w zabawie, wyobraźnia pracuje samodzielnie, to mamy wówczas do czynienia z bardzo interesującymi wyobrażeniowymi językami dzieci. Za bardzo prawdopodobne uznaję, że na tej drodze doszło do skutku ukształtowanie się części zasobu słownictwa. W procesie powstawania języka zwłaszcza gesty dźwiękowe (działający dźwięk) i dźwiękowa reakcja (na rozpoznany obiekt) muszą bowiem, jak widzieliśmy, prowadzić do słowa, ale poza tym rolę odgrywa tu również słowo wyobrażeniowe: jeśli dzięki udanemu porozumieniu wartość wyobrażenia dźwiękowego polegająca na reprezentowaniu rzeczy stanie się nagle wyraźna jako twórcze wydarzenie, to owo dokonanie może objąć również samo siebie i rozpocząć odtąd „zabawę w nazywanie”; na tym polega elementarna arbitralność, która daje się jednak potwierdzić: dziecko ujmuje słowa, których się uczy, jako czyste odniesienia typu: „tak ma być” (*Sollbeziehungen*). Dziecko ustawiło się pośrodku pokoju, wskazywało na pojedyncze przedmioty i powiedziało: lampa, szafa, kosz. Ta „arbitralność reguł” należy do wszelkiej gry wyobraźni, jest ona koniecznym formowaniem fantazji, która bez niego pozostałaby bezkształtna. Nazywanie może dlatego, obok innych źródeł słowa, być bez wątpienia również pewną „grą ustanawiania” uprawianą przez wyobraźnię, a Jespersonowi zawdzięczam znakomity dowód, który zaczerpnął z tekstu Martiusa, badacza południowej Ameryki. U Botokudów zaobserwowano spontaniczne słowotwórstwo: „jeden z nich wykrzyknął głośno słowo, jak gdyby nagle przyszła mu do głowy jakaś myśl, inni powtarzali je ze śmiechem i podnieconymi okrzykami, a później wszyscy przyjęli to słowo, również w odniesieniu do dobrze znanych przedmiotów”. W ten sposób koń został nazwany „zębogłową”, wół – „pękniętostopą”. Obowiązuje powszechnie zasada, że języki ludów pierwotnych dopuszczają w pewnym stopniu spontaniczne słowotwórstwo. Kainz relacjonuje, jak czarnoskóry Ful, którego pytano o słowo „płuca”, natychmiast wynalazł wysoce obrazowe słowo. Ze słowa *fofa*, dmuchać utworzył przez wzmocnienie *fofta* i dodanie przyrostka *ki* – tworzącego kategorię instrumentalną – słowo *foftoki*, a zatem niejako „mocny instrument dęty”.¹¹

W tym pierwszym ujęciu słowo jako czysto dźwiękowy fantazmat i „obraz” rzeczy, zdaje się zatem już posiadać metaforyczną treść. W istocie język jest całkowicie metaforyczny po prostu z tego powodu, że nie zawiera w sobie przedmiotów, lecz je „wyraża w odbłasku” (Goethe). Metafora w ścisłym sensie, autentycznie wyobrażeniowe użycie języka, wykorzystuje jedynie tę możliwość ujmowania A jako B.

W obrębie pojedynczych znaczeń słów i słów obserwujemy następnie fantazmat podstawowego znaczenia, najczęściej zmysłowy i naoczny fantazmat ruchowy o jednoznacznej postaci, który wykazuje tendencję do przemieszczania się, do rozszerzania zasięgu obowiązywania słowa na

¹¹ F. Kainz, *Psychologie...*, op. cit., s. 152.

podobne przedmioty. Zgodnie z tym, co wyżej powiedziano, nie jest to dla nas żadną tajemnicą: można powiedzieć, że „kojarzone” są różne, pod jakimś względem podobne do tego podstawowego fantazmatu przedmioty, można też powiedzieć, że nasze działanie (nazywania) rozprzestrzenia się w świecie. Są to procesy, które czynią tak inspirującym studiowanie etymologii.

W staroegipskim słowo *kod* oznacza najrozmaitsze pojęcia: wyrabianie garnków, bycie garncarzem, wytwarzanie, tworzenie, budowanie, pracę, rysowanie, obraz, koło, pierścień etc. U podłoża wszystkich tych obrazów tkwi pierwotny fantazmat „obracania, obracania dookoła”. Obracanie koła garncarskiego i wyobrażenie twórczej czynności garncarza były tym, z czego powstał ogólny sens [słów] „wytwarzać, pracować, tworzyć, budować”.¹²

Fantazmaty są całkowicie twórczymi osiągnięciami, ponieważ akt nazwania jakiegoś procesu lub rzeczy jest oczywiście zarazem wyborem jakiegoś aspektu, który wyobraźnia utrwała w słowie jako istotny i właśnie ta „abstrakcyjność” fantazmatu pozwala przenieść to samo na inne procesy i ujmować je w tym samym aspekcie. To jest autentycznie metaforyczny proces w ścisłym słowa znaczeniu.

To naoczne metaforyczne interpretowanie obserwuje się bardzo często u dzieci: kiedy dziecko nazywa zupę z kluskami „piłkózupą”, kiedy mówi, że motyl „dzierga pończochy” (ruchy odnóżami i czułkami), jest to właśnie tego rodzaju metaforyczne przeniesienie fantazmatów postaciowych. Przy tym często dochodzi do spontanicznego słowotwórstwa: *I pailed him out* – wyniosłem go, mianowicie żółwia, w wiadrze (*pail*). K. Bühler podaje w swojej książce *Die geistige Entwicklung des Kindes* (1924) długą listę takich dziecięcych metafor: angielskie dziecko nazwało chorągiewkę na wietrze *tell-wind* – wiatromówcą. *Trepperei*¹³ jest stokiem góry, *Lichterde*¹⁴ – podłogą oświetloną słońcem.

Szeroki zasięg nieuniknionej, metaforycznej interpretacji istnieje naturalnie we wszystkich obszarach rzeczywistości, które w ogóle nie mają żadnej zmysłowej realności: jak na przykład wymiary czasu. Można je określić wyłącznie metaforycznie, a mianowicie za pomocą metafor przestrzennych: przed, po, długi, krótki czas, przestrzeń czasu, czas rozciąga się, przebiega, nadchodzi etc. To samo dotyczy abstrakcyjnych kierunków przestrzennych: Süden [południe] od starowysokoniemieckiego *sund* jest naturalnie tym samym słowem co Sonne [słońce], gockie *sunno*, starosłowiańskie *slunice*. Przede wszystkim jednak wszystkie wewnętrzne stany duchowe, afekty, popędy, nastroje dają się w ogóle nazwać tylko dzięki metaforom, a zatem można je zrozumieć z perspektywy zmysłowego fantazmatu: ujmować, pojmuwać, wpadać na [*verfallen auf*], popadać w [*verfallen an*], poświęcić się sercem [*sein Herz hängen*], ponaglać/przepychać się [*drängen*],

¹² H. K. Brugsch, *Religion und Mythologie der alten Ägypter*, Leipzig 1888.

¹³ Słowo *Trepperei* utworzone od *die Treppe* – schody i końcówki -ei.

¹⁴ Słowo *Lichterde* to zbitka *das Licht* – światło i *die Erde* – ziemia.

mieszać/wzruszać [*rühren*], poruszać [*regen*], doznawać [*empfinden*], przychodzić komuś na myśl [*einfallen*]. Takie zwroty jak: coś krąży w głowie, coś traci się z oczu [*es fällt aus dem Sinn*] – delikatnie, pogodnie, nisko, mrocznie – umierać z zazdrości etc. [pojawiają się] w nieskończonym bogactwie języków.¹⁵ Do tego bogactwa metaforycznej wyobraźni językowej należy również sytuacja, gdy wszystkie autentyczne słowa oznaczające czynności przenosimy również na procesy zachodzące wśród nieożywionych rzeczy: spadanie „podporządkowuje się” prawu swobodnego spadania ciał, słońce „przyciąga” wodę, „zanosi się” na deszcz, las jest „cichy i milczący”. Użycie czasownika w językach indoeuropejskich zakłada w ogólności fundamentalną „personifikację” wszystkich stanów rzeczy, które opisywane są przy użyciu słów oznaczających czynności, ujęcie procesów jako swoistych działań.

Tym samym doszliśmy do drugiej rozległej dziedziny wyobraźni językowej, mianowicie do podstawowych „aspektów”, które uwzględnia każdy język i które stanowią jego wewnętrzną formę. Również tutaj podam tylko kilka przykładów, problematyka ta jest głównym przedmiotem badań językoznawczych, mimo że prawie nigdy nie jest ona uwzględniana w perspektywie wyobraźni, która jako jedyna może ją prawidłowo ująć.

Jeśli, na przykład, indogermańskie języki zawierają w czasowniku autentyczne wyobrażenia o czynnościach, a również, co nie jest oczywiste, ujmują wyłącznie zewnętrzny proces przez pryzmat fantazmatu aktywności, o tyle opisują go właśnie werbalnie; jeśli natomiast inne języki w ogóle rezygnują z tego wszystkiego i, przeciwnie, myślą nie za pośrednictwem fantazmatów działań, lecz z perspektywy „ukazujących się procesów”, tak że nie mówi się w nich: „ja zabijam go”, lecz mniej więcej: „on umiera mi” – nie „rzucam to przed siebie”, lecz „to odlatuje ode mnie”, to w tym postępowaniu (Grenlandczyków, również w językach uralско-алтájskich) tkwi po prostu na tyle inny sposób ujęcia, iż należy stwierdzić że podstawowe kategorie wyobraźni są różne. Albowiem tłumaczenia („on umiera mi”) są z konieczności tylko opisowymi przedstawieniami w innym duchu językowym, które wprawdzie dotyczą tego samego stanu rzeczy, jednakże nie są spontanicznym sposobem, w jaki stan ten jest ujmowany. Jeśli grenlandzki język całkowicie nie uwzględnia podstawowego fantazmatu „słucham”, lecz całkiem inny, który my oddajemy za pomocą środków naszego języka (przyjmując tym samym jego założenia) wyrażeniem „moje brzmienie (*Ertönen*)” – to właściwie nie istnieje już tutaj żaden rzeczywisty „przekład”, to znaczy, żadne rzeczywiste rozumienie tej naoczności jako obowiązującej i pierwotnej, lecz tylko transpozycja tego samego stanu rzeczy na całkiem inne „wyczucie językowe” lub inny językowy fantazmat. Każdy język daje się tylko o tyle przełożyć na inny, o ile może przenieść owo „co”, o którym jest mowa, choć nie w pier-

¹⁵ H. Paul, *Prinzipien...*, op. cit., s. 69.

wotny sposób, w jaki wyobraźnia językowa przywłaszcza sobie ten stan rzeczy.

Rozważmy jeszcze następującą kwestię: w indogermańskich językach łatwo rozróżnia się czasownik i rzeczownik, co jednak oznacza: przypisanie własności do przedmiotu i opisanie procesu są podstawowymi, różnicującymi kategoriami myślenia i percepcji, a zatem interpretującej wyobraźni. W uralsko-ałtajskich językach początkowo w ogóle nie istnieje rozróżnienie na czasowniki i rzeczowniki: wyrażenia typu „mężczyzna ja”, „duży ja”, „tam ja”, „chodź ja” są składnikami tej samej podstawowej naoczności. Te zjawiska językowe ujawniają pierwotne sposoby ujmowania, które bardzo różnią się od naszych, a różne rodziny językowe wykazują tak fundamentalne różnice elementarnej wyobraźni językowej, że często występuje trudność w ich zrozumieniu. Finck słusznie stwierdza, że turecka końcówka osobowa *im*, która jest zarazem przyrostkiem dzierżawczym, łączy zaimki „ja, mój, mnie” do postaci „nie dającej się wyobrazić jedności”. Werbalny rzeczownik oddany przez „chodzenie”, jest logicznie niespójny już choćby z tego powodu, że nasze urzeczownikowione formy werbalne tylko w bardzo specyficznym użyciu zacierają podstawową różnicę między czasownikami i rzeczownikami, którą z konieczności zakładają. Jednakże werbalny rzeczownik poprzedza, a ściślej, znajduje się poza tym rozróżnieniem, i jeśli fantazmat „iść” lub „iść ja” spróbujemy wyobrazić sobie rzeczywiście w formie dopełniaczowej: „iść niebycie” – powątpiewam, czy to rzeczywiście może się powieść. Dlatego istnieją czyste przypadki niemożności zrozumienia. W chamickim języku fulbe¹⁶ występuje gramatyczne zjawisko „polaryzacji”, podobnie w języku somalijskim.¹⁷ Jeśli w somalijskim rzeczownik występuje w liczbie pojedynczej rodzaju męskiego, w liczbie mnogiej staje się rzeczownikiem rodzaju żeńskiego i na odwrót. Aby wyjaśnić tę osobliwość Meinhof może tylko wskazać na zjawisko polegające na tym, że u Chamitów synowie należą często do rodziny matki, córki zaś do rodziny ojca oraz na tym, że (u Nandi) młodzieńcy przed rytuałem wkraczania w męskość noszą ubrania dziewczęce, a dziewczęta ubrania chłopięce. To wydaje się wskazywać na bardzo osobliwe i głębokie fantazmaty polaryzacji, które dotarły aż do sfery językowej. Natomiast w języku ful klasa zaimków osobowych w liczbie pojedynczej brzmi tak samo jak klasa w liczbie mnogiej. Moją przynajmniej wyobraźnię przekracza to, że w języku ful – spośród 21 przyrostków tworzących klasy – piąty (-al, -gal) oznacza „ptaki, narzędzia, bezokoliczniki”. Przy tym język ten nie jest bynajmniej „prymitywny”, a występujące w nim możliwe kombinacje przyrostków czasownika są wręcz niezwykle bogate.

W tym miejscu możemy zakończyć, pozostając na elementarnym poziomie, nasze rozważania dotyczące językowych fantazmatów bez odnoszenia

¹⁶ C. Meinhof, *Die Sprache der Hamiten*, Hamburg 1912; D. Westermann, *Handbuch der Fulsprache*, Berlin 1909.

¹⁷ L. Reinisch, *Die Somalisprache*, Wien 1900.

się do wyższych procesów językotwórczej fantazji. Zauważyłem, że językoznawstwo najczęściej omija temat „wyobraźni”, zapewne dlatego, że żadne określone poglądy na ten temat nie chronią przed popadaniem w „to, co nieokreślone”. Z tego właśnie powodu pojęcie wewnętrznej formy języka pozostaje nader niejasne, można je bowiem zdefiniować jedynie z perspektywy wyobraźni. Dopiero gdy rozpoznamy decydującą rolę wyobraźni w naszej zmysłowej i motorycznej aktywności i będziemy postrzegali język w koniecznym z nią powiązaniu, będziemy mogli również w najgłębszych warstwach języka uchwycić wyobraźnię wraz z jej zdolnością do zamiany ról, do utożsamiania się i interpretacji. To jest metafora, lecz także wewnętrzna forma języka, która utożsamia procesy z działaniami lub działania ze zjawiskami etc., jest ostatecznie metaforą.

Przełożył *Rafał Michalski*
Redakcja naukowa – *Stanisław Czerniak*